

Ucieczka z piekła

16 marca 2019

We wczesnej szkole podstawowej chodziłam na lekcje religii chrześcijańskiej, wówczas jeszcze programowo organizowane w szwedzkiej szkole. Na jednej z lekcji przerabialiśmy temat nieba i piekła. Dowiedzieliśmy się, że w niebie wszyscy są szczęśliwi, a piekło to najgorsze, co możemy sobie wyobrazić. Poszłam do domu i zaczęłam sobie wyobrażać. Wyszło mi coś takiego – człowiek żyje w próżni, nic nie widzi, nie słyszy, nie czuje, po prostu jest – i jest. To mnie tak przeraziło, że długo jeszcze budziłam się w nocy z atakiem paniki. Ale przynajmniej była pewna, że trafiłam, bo nie jestem w stanie wyobrazić sobie nic gorszego. Nie wiedziałam, że przyjdzie mi żyć w czasach, gdy tak wyobrażone piekło stanie się pożądaną i znormalizowaną społeczną rzeczywistością. Na tym właśnie polega smutek i jałowość współczesnego życia w Sieci.

Gdy niedawno pracowałam w jednym z czołowych uniwersytetów brytyjskich, szczycącym się swoją wybitną nowoczesnością, w bardzo szybkim czasie uzyskałam coś, czego nigdy dotąd nie miałam – fobię e-mailową. Na ogół odpowiadam błyskawicznie na e-maile i uważam tę technologię za bardzo ułatwiającą (i potaniającą) mi życie i pracę. Dawno temu zaczęłam ją przyjmować jako coś oczywistego, jak tramwaj lub bieżąca woda w domu. Wiedziałam już wcześniej, że brytyjscy koledzy i koleżanki skarżą się z powodu opresyjności e-maila, ale nigdy do końca nie wierzyłam, że to może dotyczyć zwykłych ludzi, w tym na przykład mnie. Wydawało mi się, że może niektóre uczelnie są dziwnie zarządzane, albo niektóre osoby nie lubią e-maila. Tymczasem sama znalazłam się w rzeczywistości, gdy otwarcie skrzynki e-mailowej powodowało fizyczną reakcję, na którą nic nie mogłam poradzić – jakby trafił mnie w sam środek mostka potężny cios pięścią i uchodziło z mojej klatki piersiowej całe powietrze. Serce zaczynało mi bić szybciej, drżały mi dłonie. To uczucie było wycieńczające i mocno

nieprzyjemne, nie byłam nań przygotowana. Zaczęłam robić coś, czego robić mi nie było wolno i czego nie robiłam nigdy dotąd – zwlekałam z otwarciem skrzynki dniami, a zdarzało mi się, że tygodniami. Miałam z tego powodu kłopoty. Jednym z moich obowiązków było jednak odbieranie e-maili w zasadzie przez całą dobę i natychmiastowe odpowiadanie na nie. Zaczęłam mieć poważne obawy i wątpliwości co do swojego zdrowia psychicznego. Po jakimś czasie złożyłam wypowiedzenie i przyszedł dzień, gdy odebrałam ostatnią porcję e-maili – i skasowałam służbową skrzynkę. Od tej pory nie doświadczam uczucia paniki i staje się ono coraz bardziej odległe i nierzeczywiste w mojej pamięci. Pisząc te słowa, musiałam się wysilać, by przypomnieć sobie, jak było. E-mail jest znów jedną z moich ulubionych, łatwych i tanich technologii komunikowania się ze światem, prywatnie i zawodowo. Gdy nie myślę o tym, to nie rozumiem, jak mogłoby być inaczej.

A jednak przecież wiem, że mogło. Troje brytyjskich uczonych – Olivier Sibai, Bernardo Figueiredo i Marcia Christina Ferreira – piszą o badaniach, z których wynika, że prawie połowa pracowników brytyjskich uniwersytetów jest desperacko samotna w swojej pracy zawodowej. Wśród doktorantów odsetek ten jest szczególnie dramatyczny – wynosi 64%. Dominuje poczucie izolacji, przeciążenia i przepracowania – jednak bez energetyzującego kontaktu z innymi ludźmi. Większość takiej pracy odbywa się online, zabierając tyle czasu i energii, że nawet życie prywatne nie jest w stanie przynieść poczucia sensu. Cóż, wielu akademików w neoliberalnym świecie nie ma zbyt wiele życia prywatnego, czuwa cały czas nad e-mailem, niezależnie od tego, co myśli sobie na ten temat np. współmałżonek. Zresztą rodziny są coraz częściej standardowo bezwzględnie dzielone, bo „merytokracja” i inne wymysły świata online – nie ma komu zapłakać nad tym, że małżeństwo mieszka od dziesięciu lat osobno. Rzadko trafia się na małżeństwa naukowców szczęściarzy mieszkających w tym samym mieście, bo, zaczyna być luksusem mieszkanie w tym samym kraju. Wszystko koncentruje się na samym czy samej sobie – jest się poddawany

ocenie jednostkowo, za pośrednictwem internetu, dostaje się anonimowe uwagi recenzentów, studentów, często lodowate, pozbawione jakiegokolwiek współczucia; przychodzą wciąż nowe polecenia, nakazy, imperatywy, z którymi nie można dyskutować. Często wręcz praktycznie nie jest to sensowne i powoduje jedynie stratę czasu i energii.

W wielu neoliberalnych miejscach pracy niektóre funkcje, takie jak HR (czyli kadry), są sfragmentaryzowane – e-maile trafiają do puli, z której uzyskuje się odpowiedź od przypadkowych odbiorców. Żaden człowiek nie zajmuje się żadną konkretną sprawą. Powoduje to, że system jest sprawny i tani, ale nie uczy się i nie ponosi absolutnie żadnej odpowiedzialności. Nie można też liczyć na ludzki kontakt, solidarność, współczucie. Człowiek na końcu takiego systemu komunikacji jest kłębkim bolesnej płataniny nerwów i myśli, obnażonym mózgiem zawieszonym w doskonałej próżni, izolującej od jakiegokolwiek kontaktu mogącego ogrzać czy przynieść sens. Bardzo często pisze się w prasie na tak zwanym Zachodzie o problemach zdrowia psychicznego w zawodach najbardziej narażonych na takie warunki funkcjonowania, na przykład akademików. Neoliberalizm także ten problem prywatyzuje, często dyskutowany jest jako problem indywidualny takich pracowników. Zaleca się im, na przykład, mniej czasu poświęcać na rozrywki i więcej spać – to oczywiście ich odpowiedzialność, że czują się niedobrze. Często w domyśle raportów medialnych na ten temat jest prosty morał: trzeba zadbać o siebie, brak zdrowia jest kosztowny i ryzykowny, a na miejsce każdego, kto wypadnie z gry, są tłumy wygodniaczy oczekujących.

W tym natłoku ludzkim, w tym przeludnieniu, tej nadmiarowości każdego i każdej z nas, jesteśmy zawieszeni w próżni samotności. Dla rozrywki wypełniamy wolne chwile przeglądaniem internetu, komentowaniem cudzych postów, wrzucaniem własnych. W swej bardzo pobudzającej do myślenia książce pod tytułem „Kultura cyfrowego narcyzmu” socjolożka Magdalena Szpunar prezentuje świat pozornie polegający na intensywnym

porozumiewaniu się, który w rzeczywistości odcina nas od innych ludzi i zwraca całą uwagę ku nam samym, czyniąc z nas narcyzów nawet mimo woli. Autorka stwierdza, że w ten sposób narcyzm staje się najważniejszym wyznacznikiem ludzkiej kondycji w obecnej epoce. Uwielbienie sukcesu, pogarda dla porażki i imperatyw rywalizacji znajdują w internecie doskonałe medium dla wywoływania rezonansu, zwracającego całą uwagę we własnym kierunku i utrwalające kategorię sukcesu jako jedyne dopuszczalne kryterium oceny wartości człowieka. „Imperatywem współczesnego człowieka nie jest bycie szczęśliwym, a jedynie osiąganie sukces” – pisze autorka (a więc możemy zapomnieć o niebie, tam wszyscy mieli być szczęśliwi). Internet nakłania do koncentracji na sobie i wzmacnia skłonność do pozowania. Autentyczność w sieci staje się pozą, jak wszystko inne, liczą się wyłącznie fasady, ba, tylko one istnieją. Uczymy się, że tylko to jest ważne i zanika nasza zdolność do nawiązywania głębszych więzi. Jednocześnie rozwija się strach przed sobą i przed zaangażowaniem. Profesor nauk zarządzania Nancy Harding wstępnie twierdzi, na podstawie badań, które nadal są w toku, że internet to coś w rodzaju zbiorowego cienia ludzkości – ludzie wypisują tam rzeczy, z którymi nie do końca świadomie sami się identyfikują, wyłazą z nich mroki, okrucieństwa, agresje, ekshibicjonizmy, których nigdy nie użyłiby w komunikacji twarzą w twarz. Widzę to troszkę podobnie do tego, jak kiedyś funkcjonowała ściana w szkolnej toalecie – uczniowie wypisywali tam wulgaryzmy, czasami pisali, że Gośka prowadzi się niezbyt ciężko, a Waldek to wybitnie niemiły facet, oczywiście z użyciem właściwego języka. Ten sam język, ta sama anonimowość, funkcjonują dziś w sieci, tyle że na większą skalę i z wyłączeniem świata poza nią. Ktoś, kto ma wielką stronę w Wikipedii, jest wielki, ktoś, kto jej nie ma – nie jest; poza internetem nie ma społecznej obecności.

Jednak w internecie nie ma obecności fizycznej, śmiertelnej. Nie ma więc śmierci, a na wieść, że ktoś znany umarł, fejsbukowców nie ogarnia smutek czy żałoba, lecz wybuch

triumfalizmu, hymnów ubóstwienia lub zbiorowej nienawiści, kampanie ogłaszania siebie ofiarami przez osoby, które nigdy nie miały do czynienia z człowiekiem zmarłym, gdy chodził w swoim ciełe po naszej wspólnej Ziemi. Nie ma w internecie człowieczeństwa podatnego na zranienie i możliwego do pocieszenia – chyba że zna się osoby, z którymi się tam rozmawia z życia twarzą w twarz i internet służy jako skrzynka komunikacyjna. Wtedy jest przydany, dobry, może czasami liniowy i spłaszczający, ale zawsze można to sobie odbić przy okazji spotkania. To nie internet jest zły, to my nie umiemy z niego korzystać.

Wynałazki same w sobie nie są ani dobre, ani złe. Sposób ich użycia może być dobry, zły, mądry, szkodliwy, może ułatwiać życie wielu lub budować twierdze ze złota nielicznym, może wyzwalać, może zniewalać. W 1922 roku północnoamerykański socjolog William Ogburn pisał o nienadążaniu kultury za warunkami materialnymi (cultural lag). Ma to miejsce także wtedy, gdy ludzkość tworzy nowe rozwiązania, nowe technologie, lecz nie umie ich używać w sposób korzystny dla siebie (i, dodajmy, dla planety). Zdaniem autora konieczna jest zmiana społeczna, adaptująca kulturę do nowych warunków. Dodam, że zmiana ta czasami powinna być systemowa i strukturalna i tylko wtedy umożliwić może sensowne i humanitarne korzystanie z osiągnięć techniki. Technologia, którą dziś dysponujemy, mogłaby, tak jak my, wychowani w latach 60. i 70. tego oczekiwaliśmy, przynieść wszystkim wygodne życie bez konieczności harówki. Tymczasem straszy się nas, że roboty odbiorą nam pracę.

I co z tego? – spytałby młody człowiek, jakim byłam w 1979 roku, to bardzo dobrze, przecież będziemy wszyscy artystami w świecie przyszłości, będziemy się ciągle uczyć, rozwijać, i wykonywać te prace, które są szczególnie ludzkie. Gdzie się podziała tamta przyszłość, dokąd poszły tamte marzenia? Co uzyskaliśmy zamiast tego? Ponure roboty zabierające nam pracę, rozwścieczone stada demonicznych e-maili bez uczuć i empatii,

które zabierają nam po kawałku duszę, zatruwają nam krew, odbierają chęć życia. Czy to my, ludzie, nagle staliśmy się zgrają psychopatów, dbających wyłącznie o własne zaspokojenia? Czy raczej – świat, który nas otacza i wymaga dostosowania zmienił się w coś bardzo strasznego, coś, co wtedy, będąc uczennicą wczesnej podstawówki, wyobrażałam sobie po tamtej lekcji religii? Skomunikowanie, które czyni nas wyizolowanymi, media społecznościowe, które sprawiają, że jesteśmy aspołeczni. Paradoksy na poziomie tak powszechnym, że zostały zinstytucjonalizowane. To nie my, to nie media, to nie technologie ani roboty, ani nawet nasze bezduszne organizacje nie są winne – to dzieje się na poziomie wyższym od nich wszystkich, bardziej globalnym, bardziej powszechnym. To neoliberalny kapitalizm jest piekłem. A jeśli piekło – to zabija, biologicznie, niszczy nasze zdrowie, wycina drzewa, zatrzuwa powietrze, niszczy pola i lasy. I zabija duszę. Zapycha nam to, co kiedyś nazywane było świętą ciszą czy pustką po bóstwie, kneblem zewnętrznego absolutnego bytu bez transcendencji, zagadki bez tajemnicy, wszechmocy bez pokory. Wreszcie – przynależności bez obecności.

A przecież można uciec z piekła, jest nawet dość łatwa droga. Gdy skasowałam ostatni e-mail, w mojej skrzynce pojawił się napis „you have no more mail” i zagrała z głośniczka fanfarka, jak w grze. Wyskoczyłam na dwór, wykrzyknęłam „łuhuuuu”, moje nogi same mnie poniosły, ręce same mi się uniosły do góry, zaczęłam biec jak wypuszczona z klatki, przez park – a tam kos!, między drzewami – a tam dzieciaki grają w piłkę!, zatrzymałam się na moście i patrzyłam, jak płynie rzeka. Nawet, jeśli łatwo mi zapomnieć, z jakim uczuciem otwierałam pracowe e-maile, tej drogi na dworzec nie zapomnę nigdy.

Chris Hedges opisuje ruch Extinction rebellion, jego niesłychaną żywotność i sprawność mobilizacji ogromnej ilości ludzi. Zauważa, że wiele innych ruchów politycznych i społecznych, na przykład ostatnio Żółte Kamizelki, powstało poprzez media społecznościowe, w internecie. Tymczasem te

media działają jak heroina – dają szybkiego kopa, a potem społeczność dezintegruje się błyskawicznie, rozsypuje w proch. Staje się przemocowa, gwałtowna lub chaotyczna. Internet nie tworzy więzi, pasie trolle, sprzyja pustostłowi i fasadowości – a to wszystko jest śmiertelne dla tworzenia tak przynależności, jak i struktur. Extinction rebellion tworzy się „powolną drogą”, fizyczną, twarzą w twarz, przez ludzi zbierających się razem w lokalach, spotykających w domach, rozmawiających i podających sobie dłonie. Potem wychodzą na ulice. I są silni. Podobnie tworzy się obecnie lewicowy ruch Reformisterna w ramach szwedzkiej socjaldemokracji. Mój kolega, szwedzki badacz zarządzania, doktor habilitowany Markus Kallifatides, jeden z współtwórców ruchu, opowiadał mi o tym, jak ważne są to spotkania zanim wyjdzie się na plac, na ulicę – wspólne bycie w przestrzeni, gdzie powstaje zaufanie, gdzie możliwa jest nieśmiałość, zaskoczenie, zauroczenie, przerażenie – wszystko to, co czyni nas wrażliwymi, śmiertelnymi, łatwymi do zranienia – kanciastymi kawałkami nieskończenie wielowymiarowych układanek, które, jak wszystko dobrze się składa, w jakimś momencie znajdują wspólne kąty i płaszczyzny. I to jest to, co nas łączy – nasze chropowatości, niedoskonałości, nie zaś gładkie, idealne, boskie – czy raczej demoniczne – internetowe ego.

Autorstwo: prof. Monika Kostera

Źródło: NowyObywatel.pl